

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

W dniu 9 września 1990 r. dwóch Malgaszy po rocznym nowicjacie w Ambinanindrano złożyło pierwsze śluby zakonne i dlatego w polskiej Prowincji Misjonarzy Oblatów mamy dwóch niebiałych, chociaż czarni też nie są. Brat Augustyn zamieszkał w Mahanoro i będzie pracował w misyjnej stolarni, a brat-scholastyk Jan udaje się do Zairu na studia teologiczne. Jest więc nas Oblatów na Madagaskarze dziesiętnastu: szesnastu ojców i jeden brat z Polski oraz dwóch Malgaszy. Inni jeszcze będą.

Na dzień ślubów zostali zaproszeni rodzice składających pierwsze śluby. Przyjechali wszyscy polscy Ojcowie Oblaci, którzy koncelebrowali Mszę świętą. Jedyne polski brat w sutannie z krzyżem też miał swoje miejsce przy nas w prezbiterium. W kościele ludzi było dużo, a nowicjusze usiedli przy swoich rodzicach. Same śluby odbywały się, jak w Polsce: poświęcenie białych sutann i czarnych szerokich pasów oblackich, podpisanie odczytanego tekstu ślubu na ołtarzu. Po założeniu sutanny w zakrystii zajęli miejsca już przy nas i na rok stali się do nas podobni. Od nich zależy, czy będą chcieli odnawiać co roku swoje śluby aż do ślubów wieczystych. Malgaskim zwyczajem ślubujący otrzymali błogosławieństwo od swoich rodziców, które tradycyjnie udziela ojciec. Jednakże w tym wypadku pierwszemu ze składających śluby zakonne błogosławieństwa udzielała matka, a na miejscu ojca siedział starszy brat nowicjusza, zaś drugiego błogosławił jego dziadek, a ojciec był tylko obecny. Tego dziadka znałem dobrze i przed laty opisywałem już jego ślub. Przypomnijcie sobie mój opis ślubu starszego pana z młodą 21-letnią katechetką we wspólnocie protestanckiej, która w dniu ślubu wyznała wiarę katolicką i w ten sposób stała się katoliczką. Czytelnikom pozostawiam do rozstrzygnięcia fakt, że w tym przypadku błogosławiący dziadek był o dziesięć lat młodszy od obok stojącego ojca tego nowicjusza. Zresztą ten malgaski zwyczaj błogosławieństwa nowicjuszy przez ojców bardzo mi się podoba.

Obiad zjedliśmy w dwóch grupach: polskiej w naszym domu i malgaskiej przy kuchni ośrodka katechetycznego w dolince obok misji. Na kawę do naszej jadalni przyszli młodzi Oblaci wraz z rodzicami, a malgaską kolację zjedliśmy ze wszystkimi gośćmi w jednym z domków katechetycznych.

Ludzie przybyli na te uroczystości pomylili śluby zakonne ze święceniami kapłańskimi i raczej myśleli o przyjeździe Księdza Biskupa, który dałby im władzę sprawowania Najświętszej Ofiary i udzielania sakramentalnego rozgrzeszenia. Jeszcze raz się okazało, jak trzeba uczyć, wyjaśniać precyzyjnie i przewidywać takie nieporozumienia

A ja już dnia 11 września opuściłem Ambinanindrano i dnia 15 września wysiadłem z samolotu w Tsaratanana, mieście liczącym 5 tysięcy mieszkańców. Samochodu nie było i ponad godzinę szliśmy do domu. Nasze bagaże znajdowały się na wozie, którego siłą pociągową były dwa woły. Misja katolicka została założona w 1902 roku, od dwóch lat mieszkają tu polscy Oblaci Maryi Niepokalanej. Piękny kościół, dużo innych budynków należących do misji, obskurny dom ojców. Parafianie bardzo interesują się życiem Kościoła. Są powołania: jeden tutejszy diakon będzie święcony w przyszłym roku, sześciu młodzieńców uczy się w Niższym Seminarium w Mahajanga. Kilka dziewcząt przygotowuje się do nowicjatu u sióstr, które też mieszkają w tej misji i prowadzą szkołę podstawową (300 uczniów). Pojechałem tam na wypoczynek, ale z okazji mego pobytu zorganizowano spotkanie z młodzieżą, seminarzystami, sekcją powołań Rady Parafialnej, a nawet urządzono „niedzielę powołaniową”, prosząc mnie o odpowiednie kazanie. Podobało mi się bardzo to, że przed codzienną Mszą Świętą rano wraz z ojcami i pięcioma siostrami zakonnymi młodzież wspólnie odmawia (czy raczej śpiewa) brewiarzowe laudesy po malgasku. I nie siostry, ale młodzież bez tremy prowadzi te modlitwy, rozpoczyna śpiewy i do niej należy pierwsze czytanie podczas Mszy Świętej. Z takimi warto rozmawiać. Pewnego dnia wyraziłem swoją wątpliwość, czy właściwym jest zapowiadanie po Komunii Świętej „ostatniej pieśni”, bo po Błogosławieństwie już wszyscy od razu wychodzą, a dziękczynienie robi się zawsze przed modlitwą praktykując długą ciszę. Bo „ja wolałbym, aby

była to pieśń dziękczynienia” - powiedziałem. Nie obrazili się. Na drugi dzień już słyszałem zapowiedź „pieśni dziękczynnej”.

Przyjechałem, aby odpocząć. Przecież już w 1982 roku myśleliśmy o objęciu misji na płaskowyżu, aby misjonarze zmęczeni dłuższym przebywaniem w tropiku mogli wypocząć w chłodniejszym klimacie. Z tego też powodu nie przyjęliśmy ofiarowanej nam przez Księdza Biskupa Tabao misji sąsiedniej z misją w Masomeloka, oficjalnie tłumacząc brakiem dojazdu. Kanał nie był jeszcze przejezdny, ja dochodziłem do tej misji z Masomeloka na odległość kilkunastu kilometrów! Przyjeliśmy Tsaratanana. Ale tu odpocząć było mi trudno. Jest to miejsce u podnóża płaskowyżu, w terenie najgorętszym na Madagaskarze! Gorąco i bardzo dużo kurzu z gliny. Od kwietnia do października nie ma deszczu. Poznałem, co to jest „suchy katar” i potrzebowałem aż ośmiu dni, aby się do tego przyzwyczaić. A jeszcze trudniej żyje się w busie w jednej z 14 wiosek odwiedzanych przez misjonarza. Od grudnia żaden samochód nie dojedzie, nawet do lotniska dojeżdża się wołami. Misja ma też dwa takie zwierzęta pociągowe, które codziennie przywożą dwie beczki wody z rzeki do prania, gotowania, mycia...

W dniu 5 października wiezieni przez Ojca Henryka przyjechali seminarzyści, którzy byli tak spoceni i zmęczeni, że nawet z trudem opuszczali samochód. Po nocnym odpoczynku pożegnaliśmy pracujących tu Ojców Jerzego i Roberta, a także Ojca Helmuta przygotowującego się do przeprowadzki do Tamatawy i wyruszyliśmy w kierunku Diego Suarez, nocując na misji w Ambanja. Droga długa, 586 km, ale zróżnicowana i piękna. Kilka razy zatrzymywaliśmy się, przede wszystkim dla sfilmowania ogromnej niziny dobrze widocznej z zakrętu pnącej się w górę drogi, pożaru buszu, najwyższego szczytu górskiego (ok. 2.860 m). Jeden z seminarzystów zatrzymał się w Ambanja (240 km od Diego Suarez) i tam będzie przygotowywał się do dalszych studiów. „Bardzo dobry, o złotym charakterze, ale bardzo mało zdolny, po maturze technicznej” - taką opinię wystawili mu wychowawcy Seminarium Duchownego. Trzej z pierwszego roku dojechali z nami, czwarty przyjedzie po tygodniu, gdyż seminarzyści drugiego i trzeciego roku mają rekolekcje oddzielnie w Mahajanga. Z samochodu wyładowaliśmy też moje bagaże, które przejechały całą trasę samochodem, 2.030 km. Ja połowę drogi odbyłem samolotami, więc o jakieś 200 km mniej. Ksiądz Arcybiskup wizytując południowe misje swojej diecezji pokonuje ponad 1.700 km przejeżdżając przez 6 innych diecezji, gdyż nie ma drogi bezpośredniej nad brzegiem Oceanu Indyjskiego.

Tutaj seminarzyści spędzają trzy lata ucząc się filozofii (w Polsce nauka filozofii trwa dwa lata). Pierwszy rok jest rokiem propedeutyki i nabywanie biegłości w języku francuskim. Malgasze nie znają dostatecznie tego języka pomimo nauki w szkole średniej. Dołączyłem więc do grona wychowawców. Jest nas sześciu księży (czterech Malgaszy, jeden Alzaczyc i jeden Polak) i dwóch braci zakonnych, Malgaszy. Seminarzystów jest pięćdziesięciu z czterech diecezji północnej prowincji Madagaskaru i z dwóch Zgromadzeń (kandydaci Kapucynów i Oblatów). Dochodzi jeszcze pięciu kandydatów ze Zgromadzenia Ducha Świętego (Duchacze) mieszkający w pobliżu. Moje zadanie? Siedzieć i czekać na tych, którzy chcieliby ze mną porozmawiać. W Polsce taki ksiądz w Seminarium nazywa się Ojcem Duchownym. Zazwyczaj przypada mi raz na tydzień przewodniczenie koncelebrowanej Mszy Świętej z homilią, od czasu do czasu piątkowa konferencja duchowa oraz Msza Święta w pobliskim nowicjacie sióstr. Nowicjat jest dwuletni, nowicjuszek od 12 do 16, w tym roku jest 14. Do mnie też należy wydawanie lekarstw i wszystko, co ze zdrowiem jest związane. Gdy będę miał jakiś motor, mogę prowadzić katechezę w Niższym Seminarium. Na razie korzystam z okazji i wsiadam do samochodu seminaryjnego jadąc do miasta i wracając pieszo z miasta, ale to przejście 7 km tutaj mnie męczy. Od Wielkanocy nie padało, klimat suchy, chociaż do zatoki kilkaset metrów. Jeszcze nie zdążyłem się tu zaaklimatyzować.

Seminarzyści uczą się, ale także zajmują się ogrodem, sprzątaniami wokół domu, zmywaniem w kuchni, grą w piłkę nożną, koszykówkę i uprawianiem innych sportów. Ogródek może być utrzymany tylko dlatego, że wiatrak pompuje do 16 m³ wody dziennie. Kury zniosły 600 jajek we wrześniu, ale teraz planuje się zwiększyć liczbę kur trzykrotnie. Seminarzyści raz na tydzień pomagają w pracach duszpasterskich w jednej z trzech parafii katolickich. Kościołów innych wyznań chrześcijańskich jest też kilka, za to meczetów jest 17 i ogromny osiemnasty w

budowie! Dnia 30 października byliśmy wszyscy na pikniku, 20 km od Seminarium, na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Odpoczywaliśmy, a po dobrym obiedzie przywiezionym nam seminaryjnym samochodem rozpoczęło się trzygodzinne „ognisko bez ogniska”, chyba że uznamy słońce za wystarczające źródło ognia. Występowali wszyscy. Pytania z kosza nawiązywały do życia seminaryjnego, a kto nie umiał odpowiedzieć, jako fant wykonywał taniec ludowy. Księdzu Rektorowi wypadło zaprezentować taniec z Komorów, znał dobrze. Pytania dotyczyły m.in. ile papierosów pali dziennie Ksiądz Prefekt studiów? Od którego roku prawo jazdy ma Ksiądz Profesor X (ma najczęściej wypadki, chociaż wszystkie niegroźne)? Jakiego wyrażenia nadużywa Ksiądz Profesor Y podczas wykładów? itp... Bawiliśmy się wspaniale, mnie też tam poproszono, ale skończyło się na opowiedzeniu polskiej bajki. Ciekawe było to, że w koszu było kilkanaście kartek, a każdy wyciągnął taką, która jemu najlepiej pasowała. Młodzi Czytelnicy, zabawcie się w detektywów! Ja jednak zbyt się opaliłem i nie mogłem powrócić pieszo do autobusu, chociaż to było tylko pięć kilometrów piaszczystą drogą przez tereny wojskowe obok silnie zaminowanego pola. Przejechałem w samochodzie seminaryjnym. Na drugi dzień zeszła mi skóra nawet z uszu. Dotychczas nie myślałem, że takie rzeczy są możliwe. A przecież starałem się być zawsze w cieniu rosnących tam drzew, przeważnie sosen..

Właśnie po tym pikniku dowiedziałem się pewnej historii księdza, który „umiłował” wypadki, albo jego wypadki umiłowały. On był odpowiedzialny za przygotowanie terenu, na którym Ojciec Święty odprawiał Mszę Świętą. Teren spotkania z Papieżem znajdował się przy lotnisku. Główny odpowiedzialny za przygotowanie ołtarza i całego terenu musiał pokonywać często trasę pięciu kilometrów dzielącą Seminarium od lotniska, a używał motoroweru. Pewnego dnia unikał czołowego zderzenia z taksówką - kierowca jechał lewą stroną jezdni. I ten ksiądz wyhamowując coraz bardziej skręcał w prawo, w tę samą stronę (w lewo) skręcał kierowca samochodu. W rezultacie obaj uderzyli jednocześnie w ten sam głaz czy słupek przydrożny, tego już mi nie potrafią wyjaśnić. Ksiądz został wyrzucony z motoroweru na samochód i uderzył głową w skrzynię nad kabiną kierowcy. Skutkiem tego „podwójnie widział” i rzeczywiście tę wadę leczył przez kilka miesięcy. Nazajutrz pomimo trudności związanej ze wzrokiem, a w poczuciu odpowiedzialności za powierzone mu zadanie, był na lotnisku i dopilnowywał ostatnich przygotowań. Potem wracał do domu, gdy był mrok. Od asfaltu do Seminarium prowadzą dwie koleiny wąskiej drogi, którą jeżdżą samochody, ale rano i wieczorem przeprowadza się też bydło. Zobaczywszy dwa woły myślał, że jest tylko jeden, bo on widzi podwójnie - i woły go ścisnęły, stąd drugi wypadek i lekkie uszkodzenie motoroweru. Tymczasem to jest legenda. W rzeczywistości wół wyskoczył mu z bocznej drogi dwa dni przed wizytą, a zderzenie z samochodem miał dzień po wizycie Ojca Świętego w Diego Suarez. Na ile był winien? Nie można ocenić winy. Ale legenda przetrwała jego przeprowadzkę do innego Seminarium na Madagaskarze.

W drugim tygodniu października, a więc bezpośrednio po moim przybyciu do Diego Suarez Zgromadzenie Córek Maryi świętowało swoje stulecie przybycia do tego miasta. Tych pierwszych sióstr przybyłych na samą północ Madagaskaru nie zobaczyłem, ale uroczystości i imprezy trwały przez cały tydzień. Przez te lata Siostry zrobiły bardzo dużo dobrego, nadal dużo i dobrze pracują i należy się im podziękowanie. Były zawody sportowe, zabawy, przedstawienia, wyrazy wdzięczności od Księdza Arcybiskupa i Szefa Prowincji, obiad dla 500 osób. I ja tam byłem, jadłem i piłem i myślałem, ile osób i przez ile godzin będzie zmywało zabrudzone przez nas naczynia. Była telewizja, Msza Święta w krytej hali sportowej miejscowego gimnazjum. Obok Księdza Arcybiskupa siedziało dwudziestu pięciu kapłanów na bujającym się podium, dzięki czemu wiem, jak czuje się człowiek podczas trzęsienia ziemi. Było odnowienie ślubów zakonnych złożonych przez jedną z sióstr przed 64 laty... Ale w mojej pamięci najbardziej utkwił pewien incydent „świadomego zlekceważenia przepisów liturgicznych” przez samego Księdza Arcybiskupa, przewodniczącego koncelebrowanej Mszy Świętej w Katedrze na rozpoczęcie tego tygodnia wdzięczności Panu Bogu i Siostram. Kiedy po kazaniu wstaliśmy i rozpoczęliśmy wyznanie wiary, Ksiądz Arcybiskup zauważył, że drugi z jego lewej strony ksiądz słabnie. Dał mu znak, aby usiadł. Ale ten starzec ruchem głowy odpowiedział, że przetrzyma. Wtedy Ksiądz Arcybiskup dał nam znak, abyśmy wszyscy usiedli i w ten sposób zmusił słabnącego, aby też

usiadł. Szybka reakcja Księdza Arcybiskupa pomogła starszemu księdzu przetrwać do końca Mszy Świętej razem z nami. Co ciekawe, nie usiedli ministranci, ani wierni na kościele uczestniczący we Mszy Świętej. Nie naśladowali nas przekraczających przepisy liturgiczne.

Wydaje mi się, że już długo jestem na Madagaskarze, a jednak wciąż coś mnie zaskakuje i odkrywam coś nowego. Jeszcze w lipcu będąc sam na misji w Ambinanindrano w niedzielne przedpołudnie usłyszałem dźwięk budzika elektronicznego i zacząłem szukać, w którym pokoju budzik dzwoni. Po kilku minutach zapytałem kucharza, co to jest? „Śpiewa ptak błękitny”. Dopiero na trzeci dzień udało mi się zobaczyć tego ptaka o kolorze bezchmurnego nieba latem. Ptak naprawdę piękny, wielkości polskiej wrony. W Tsaratanana podczas pobytu Księdza Biskupa z Mahajanga pewnego polskiego misjonarza zaczął boleć ząb. Ksiądz biskup zapytał, czy w zębie jest dziura, a usłyszawszy pozytywną odpowiedź wyszedł z domu i urwał duży kwiat z krzewu o wysokości 5 metrów. Kazał wycisnąć i wepchnąć do bolącego zęba mleczko z podstawy tego kwiatu. Po dwóch dniach ząb wychodzi z dziąsła. Przed misyjnym domem rosną dwa takie krzewy o kwiatach białych i czerwonych. Bardzo dużo na Madagaskarze jest karaluchów pokaźnej wielkości i to stworzenie Boże jest nieprzyjemne, chociaż nieszkodliwe. Malgasze wciskają je w rany (nieraz specjalnie kalecząc skórę, aby można było wcisnąć) z pierwszymi oznakami tęcza. W ten sposób ratując ludzkie życie.

Dużą przykrość wyrządził sobie pewien misjonarz lubiący kwiaty. Pewnego poranka idąc do kościoła zauważył, że nie ma małych, ale pięknych, kwiatów w cementowym wazonie stojącym przy wejściu do domu ojców. Były tylko zielone liście. Zwymyślał ludzi obecnych na Mszy Świętej, że zniszczyli mu kwiaty. Ludzie wysłuchali go w milczeniu. Wracając z kościoła ujrzał w wazonie przed domem te same kwiaty, które rozwijają się o wschodzie słońca i zwijają swoje płatki po południu. Ludzie nie obrazili się, ale wiedzieli, że tego misjonarza trzeba jeszcze uczyć nie tylko języka malgaskiego.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Na początku listu zapomniałem napisać datę: 23 listopada 1990. List pisany w Diego Suarez, czyli po malgasku Antsiranana. Tak, wiele już zapominam, nawet z polskiej gramatyki, że przydałby mi się miesięczny kurs. Na przykład, nie wiem, jak w dopełniaczu jest „bałwan”.

* * * * *